



## Pomoc z nieoczekiwanej strony

Harry wiedział doskonale, że Stewart Ackerly serdecznie go nie znosi. Całą drogę do Ministerstwa zastanawiał się więc, czy ta niechęć nie przysłoni szefowi aurorów obiektywnego osądu całej tej okropnej sytuacji. W końcu zarzuty wobec Harry'ego były kompletnie niedorzeczne. Musiałbym być skończonym idiotą, żeby zabijać kogoś na oczach tylu świadków, pomyślał, kiedy aurorzy prowadzili go przez atrium Ministerstwa Magii, a na jego widok urzędnicy przystawali z niedowierzaniem, przysłaniając usta dłońmi, lub szepcząc coś między sobą.

— No dobrze. Zaczniemy od początku, Potter — zaproponował chłodno Ackerly, kiedy dotarli do jego gabinetu, a Cromber posadził Harry'ego na krześle naprzeciwko biurka, które jeszcze całkiem niedawno do niego należało. — Dlaczego zabiłeś Juliana Charpentiera?

Harry nabrał głośno powietrza do płuc.

— Nie zrobiłem tego! — oburzył się, czerwieniejąc na twarzy. — Odkryłem, że to on handlował niebezpiecznymi zwierzętami z Mundugusem Fletcherem. Niby po co miałbym go zabijać?!

W oku Stewarta pojawił się złowieszczy błysk. Spojrzał w napięciu na Crombera, który przysiadł na dawnym biurku Rona.

— Widzę, że Zakon Feniksa nadal ma swoich informatorów wśród aurorów — stwierdził cierpko, a Harry poczerwieniał na twarzy jeszcze bardziej, bo właśnie uświadomił sobie, że może niechcący wkopać Michaela Cornera. Nie wiedzieć czemu, Ackerly nie drażył jednak tego tematu. — Odkryłeś, że Charpentier hodował groźne zwierzęta na terenie szkoły — ciągnął dalej chłodnym tonem — akurat wtedy, gdy za to samo aresztowano twojego kumpla, Rubeusa Hagrida. Dziwny zbieg okoliczności, co?!

Harry westchnął.

— Odkryłem to, właśnie dlatego, że Hagrida aresztowano — odrzekł ze zniecierpliwieniem i opowiedział w dość chaotyczny sposób o tym, jak wraz z Hermioną przycisnęli Julię, który do wszystkiego się przyznał.

— To bardzo wygodne, Potter — ocenił Ackerly, kiwając się na swoim fotelu za biurkiem. — Oskarżyć o hodowanie bestii kogoś, kto nie może się już przecież bronić.

Harry głośno nabrał powietrza do płuc, z całych sił próbując opanować złość i irytację. Był mocno wkurzony tym, że Stewart ciągle mu nie dowierza. Spojrzał na Crombera, który przyglądał mu się ze zmartwioną miną.

— Baggers i Crout przeszukują właśnie gabinet tego Francuza — oznajmił Cromber, spoglądając w napięciu na swojego szefa. — Jeśli Harry mówi prawdę, powinni znaleźć tam coś, co to potwierdzi.

Harry bardzo ucieszył się z tych słów. Ackerly szybko zgasił jednak jego entuzjazm.

— Jeśli Baggers i Crout potwierdzą to, co mówisz, Potter — zaczął chłodno — to tak naprawdę dowiodą tylko, że miałeś motyw, żeby zabić. Załatwiłeś Charpentiera w akcie zemsty, gdy zorientowałeś się, że przez niego aresztowano Hagrida.

Harry pobladł na twarzy i z trudem przełknął ślinę.

— To jest kompletny absurd — stwierdził zduszonym głosem. — Przecież zabicie Juliana utrudniłoby mi dowiedzenie, że Hagrid jest niewinny! Poza tym nie jestem idiotą. Gdybym chciał kogoś zabić, nie zrobiłbym przecież tego na oczach tylu świadków.

Ackerly zaśmiał się ponuro.

— Jesteś sławnym Harrym Potterem. Legendarnym wybrańcem — zakpił zniesmaczony. — Pewnie sądziłeś, że zwyczajnie uda ci się z tego wywinąć.

Harry nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Ackerly za wszelką cenę starał się dowieść jego winę. Czy to możliwe, żeby był aż takim dupkiem? Czy niechęć do Harry'ego miała wziąć górę nad jego rozsądkiem i obiektywnym spojrzeniem na to wszystko?

— W Hogwarcie od wielu miesięcy znajduje się metamorfo-mag. Nie wiem, kim on dokładnie jest, ale podszywa się pod wiele osób. Myślę, że upodobnił się do mnie, żeby zrobić mnie w to morderstwo — wyjaśnił pospiesznie, starając się opanować złość i panikę, jakie coraz bardziej odczuwał.

Stewart ponownie się zaśmiał. Wstał z krzesła i przeszedł się po swoim gabinecie.

— Ciekawa teoria, Potter — zaczął kpiącym tonem. — Ma jednak jeden słaby punkt. W rejestrze metamorfomagów nie figuruje żaden, który potrafiłby całkowicie zmienić swój wygląd, prawda Cromber?

Auror potwierdził, kiwając głową.

— Widocznie macie niekompletny rejestr — odrzekł natychmiast Harry, a Ackerly parsknął śmiechem.

— No dobrze. Skoro nadal brniesz w te swoje kłamstwa — zaczął jadowitym tonem — to czas zakończyć tę rozmowę. Wyślemy cię do Azkabanu, gdzie poczekaasz na rozprawę. Myślę, że kilka dni w towarzystwie dementorów skutecznie zniechęci cię do mataczenia.

I powiedziawszy to, wyszedł nagle z gabinetu, zostawiając Harry'ego pod czujnym okiem Crombera.

— Przykro mi, Harry — mruknął niemal szeptem auror.

Harry'ego oblały zimne poty. Poczul się, jakby bryłki lodu opadły mu na dno żołądka. Ma trafić do Azkabanu?! Przecież bez patronusa nie wytrzyma tam nawet jednego dnia! Gorączkowo zaczął zastanawiać się, co powinien w tej sytuacji zrobić. Nie ma różdżki. Nie uda mu się więc rozbroić Crombera. A musi przecież jakoś zwać. I nagle go olśniło. Wpadło mu do głowy najoczywistsze rozwiązanie.

— PŁOMYK, DO MNIE! — zagrzemiał, licząc na to, że feniks zaraz pojawi się w gabinecie i pomoże mu się stąd aportować.

— To na nic, Harry — oznajmił sucho Cromber, kiedy feniks nie przybył Harry'emu z pomocą. — Ministerstwo już wie, że używałeś tego ptaka do aportacji. Wielu aurorów widziało to na własne oczy. Wiesz, wtedy gdy Ron Weasley zaginął i pojawiłeś się tutaj, żeby się czegoś o tym dowiedzieć.

Harry przypomniał sobie jak wiele miesięcy temu aportował się w sali Kwatery Głównej. Była wtedy pełna aurorów. Cromber zachwycał się wówczas Płomykiem, a Michael Corner uznał, że lepiej, żeby Ackerly nie zobaczył feniksa. Jak mógł być tak nierozważny?! Dlaczego aportował się wtedy na oczach tylu ludzi?

Kiedy Harry znalazł się w celi, ogarnęła go totalna rozpacz. Bliskość dementorów, które co chwilę przemykały korytarzem sprawiała, że czuł się fatalnie. Bezsilność, beznadzieja i dojmujący smutek zawładnęły nim całkowicie. Wciąż miał przed oczami rozmaite przerażające sceny ze swojego życia, w których ktoś albo tracił życie albo porzucał go na zawsze. Obraz umierającego

Cedrika, Syriusza, Dumbledore'a czy też widok martwych ciał Freda, Lupina i Tonks tłukły się w jego głowie nieustannie. Prześladował go przeraźliwy krzyk matki, który słyszał zawsze, gdy dementor znajdował się pod jego celą.

Któregoś dnia Harry przypomniawszy sobie, w jaki sposób przed laty Syriusz Black uchronił się przed zgubnym wpływem strażników Azkabanu. Był niewinny, dokładnie tam samo, jak Harry teraz. Ta myśl trzymała go wówczas przy życiu. Harry z całych sił starał się więc za wszelką cenę skupić na tej jednej myśli. Niestety nie przynosiło to oczekiwanego rezultatu.

Leżał ciągle na zimnej pryczy, dygocząc na całym ciele. Godziny zdawały się ciągnąć w nieskończoność, a dni zlewały się ze sobą, zupełnie jakby czas nie miał tu racji bytu. Po kilku dniach Harry kompletnie przestał orientować się, czy jest dzień czy noc. I tak żadne światło z zewnątrz nie docierało do jego ciasnej celi. Zresztą nie miało to już żadnego znaczenia. Jego fatalny stan zaczął się coraz bardziej pogłębiać. Nie pocieszyła go nawet wizyta Hermiony, od której dowiedział się, że aurorzy znaleźli dowody winy Charpentiera i Hagrid został ostatecznie oczyszczony ze wszelkich zarzutów.

— Wytrzymaj jeszcze trochę. Znajdziemy jakiś sposób, żeby cię stąd wyciągnąć — wyznała, płacząc, kiedy aurorzy zmusili ją, żeby opuściła celę Harry'ego.

Tego dnia Harry przypomniawszy sobie, że zawsze mógł liczyć na swoich przyjaciół. Wiele razy wpadał w olbrzymie tarapaty, a dzięki nim zawsze jakoś wychodził z nich obronną ręką. Skupił się więc na tej myśli z całych sił, a w jego sercu zaczęła tlić się nadzieja, że być może w końcu wydostanie się z Azkabanu. Nadzieja ta szybko jednak zgasła, gdy tydzień później odwiedził go Artur Weasley.

— Jesteśmy nieustannie śledzeni, Harry — wyznał mu ze smutkiem. — Pilnują każdego z nas. Zakładają, że będziemy

chcieli cię jakoś wydostać. Dorwali też twojego feniksa. Podobno trzymają go w Departamencie Tajemnic, w sali czasu.

Nie było już więc żadnej nadziei. Nikt nie pomoże mu uciec. Pozostało tylko czekać na rozprawę przed Wizengamotem. Ta myśl dołowała Harry'ego jeszcze bardziej. Uczucie wszechogarniającej rozpacz i beznadziejności towarzyszyło mu w każdej sekundzie jego nędznego żywota. W pewnym momencie zaczął nawet słyszeć dziwny głos w swojej głowie.

— Zgnijesz tutaj jak inni... kompletnie ci odbije... — syczał mu ciągle, tonem kompletnego szaleńca. — Dementorzy pozabiją cię duszy... Zemsta jest taka słodka... Zrobił, jak obiecał... Dzięki niemu tutaj jesteś...

Ten uciążliwy głos wdzierał się do głowy Harry'ego nieustannie. Wciąż belkotał coś bez sensu, starając się za wszelką cenę go pognać, dobić. Ach, gdybym tylko miał teraz jakiś nóż, pomyślał z żalem Harry, skończyłbym to raz na zawsze.

Z oparów obłędu na moment wyrwało Harry'ego nie spodziewane przybycie kilku aurorów. Siłą wyciągnęli go z celi, wzdrygając się na jego widok. Oznajmili mu, że nadszedł czas na rozprawę, choć ich słowa ledwie do niego dotarły. Słyszał je jakby z oddali. Jadąc limuzyną do Ministerstwa Magii, dowiedział się też, że minęły trzy tygodnie od czasu, gdy zamknięto go w Azkabanie. Był początek kwietnia. Za przyciemnianą szybą samochodu dostrzegł promienie słońca rozświetlające ulice i domy, które mijali w pośpiechu. Tak bardzo odzwyczaił się od takiego widoku, że wlepił nos w szybę i chłonał go całym sobą.

Po godzinie Harry'ego sprowadzono do sali posiedzeń, na najgłębszym poziomie Ministerstwa Magii. Była to owalna komnata przypominająca nieco loch. Jakiś barczysty auror usadził go na krześle pośrodku, a wokół niego rozciągały się rzędy ław, niczym trybuny na stadionie. Zanim ławy te zapełniły się czarodziejami w fioletowych togach, na sali pojawiła się Hermiona.

Towarzyszył jej Dorian Conelly. Oboje byli bladzi i poruszeni tym, jak żałośnie Harry teraz wyglądał.

— Dorian będzie twoim obrońcą, Harry — szepnęła mu Hermiona, przytulając go do siebie mocno i usiadła na ławeczce obok. Jej słowa nie dotarły jednak do Harry'ego, który wciąż był mocno otumaniony.

Kiedy członkowie Wizengamotu rozsiedli się w ławach, głos zabral jeden z nich, siedzący centralnie naprzeciwko Harry'ego.

— Nazywam się Twain MaCwane i mam przyjemność poprowadzić dzisiejsze obrady — oznajmił donośnym tonem, po czym przedstawił wszystkim oskarżonego (jakby to w ogóle było konieczne!).

— Harry Potterze! Zgodnie z ustaleniami, które poczynili aurorzy, zamordowałeś Juliena Charpentiera, obywatela Francji, który nauczał w Szkole Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie, w ramach międzynarodowej współpracy — stwierdził surowym tonem MaCwane. — Czy przyznajesz się do dokonania tej odrażającej zbrodni?

Harry wpatrywał się tępo w twarz maga. Słowa MaCwane'a były dla niego ledwie słyszalne. Docierały do niego powoli, gdzieś jakby z daleka. Przed oczami wciąż nękały go ponure obrazy z jego życia. Zobaczył bladą twarz Cedrika Diggory'ego, zadowoloną gębę Voldemorta. Usłyszał śmiech śmierciożerców i krzyk Ginny, gdy myślała, że Voldemort go zabił. Zobaczył jej bladą, pozbawioną życia twarz, gdy leżała martwa w łóżku szpitalnym, zaraz po narodzinach bliźniaków. Ujrzał scenę, gdy Voldemort przeszywa kawałkami lustra ciała jego dzieci. Miał ochotę krzyczeć, wrzeszczeć z rozpacz, ale nie potrafił. To wszystko powodowało, że nie był do końca świadomy tego, gdzie się właśnie znajduje.

Zniecierpliwiony MaCwane powtórzył pytanie. Auror, który pilnował Harry'ego, podszedł do niego i chwycił go za ramię. To

ponownie wyrwało go na moment z otumanienia.

— Jestem niewinny — wymamrotał półprzytomnie, spoglądając na bladą Hermionę, która odetchnęła z ulgą. Zupełnie jakby się bała, że pobyt w Azkabanie spowodował, iż Harry przyzna się do czegoś, czego tak naprawdę nie zrobił.

Kiedy Twain MaCwane przytoczył członkom Wizengamotu okoliczności zabójstwa Julienu Charpentiera, oraz przedstawił zeznania uczniów i nauczycieli, którzy to widzieli, głos zabrał Dorian Conelly.

— Szanowni państwo. Zeznania które usłyszeliśmy, dowodzą tylko, że ktoś, kto wyglądał jak Harry Potter zabił Julienu Charpentiera — oznajmił stonowanym głosem, rozglądając się po twarzach członków Wizengamotu. — W aktach sprawy macie również liczne zeznania uczniów i nauczycieli, którzy wiele razy widywali te same osoby w dwóch różnych miejscach jednocześnie. To dowodzi, że w Hogwarcie od miesięcy znajduje się ktoś, kto podszywa się pod inne osoby. Nie można więc wykluczyć, że tak też było w dniu, w którym zginął Julien Charpentier. Możemy domniemywać, że to nie Harry zabił, tylko ten, który wyglądał jak on.

W ławach sądowych zawrzało. Członkowie Wizengamotu zaczęli szeptać między sobą, jedni przez drugich. Część była przekonana o racji Dorianiana, inni uparcie twierdzili, że to kompletna bzdura. Dyskusje zakończył MaCwane, uciszając wszystkich skierowaniem różdżki ku górze.

— Wybacz, Dorianie, ale pomyśl, że jakiś metamorfomag kradnie tożsamość oskarżonego tylko po to, żeby zrobić go w morderstwo, wydaje się po prostu śmieszny — stwierdził z niesmaką. — Nigdy dotąd nie odnotowano przypadku, żeby metamorfomag mógł całkowicie zmienić swój wygląd.

— Podobnie jak nigdy wcześniej nie odnotowano przypadku, żeby ktoś przeżył uderzenie zaklęcia uśmiercającego — odpo-

wiedział pospiesznie Dorian, a w ławach ponownie zawrzało. — To, że Harry Potter jest tu dziś z nami, dowodzi, że czasem rzeczy niemożliwe stają się jak najbardziej możliwe. Fakt, że nie odnotowano jeszcze przypadku metamorfomaga, który całkowicie zmienia swój wygląd, wcale nie oznacza, że taka osoba nie istnieje.

— To tylko domysły i puste teorie — odrzekł bez przekonania MaCwane. — Nie ma na to żadnych twardych dowodów. Fakty są jednak takie, że to z różdżki Harry'ego Pottera wyszło zaklęcie, które odebrało życie Julienowi Charpentierowi. To niepodważalny dowód na to, że oskarżony jest winny!

Conelly westchnął ciężko.

— To tylko dowód na to, że oszust użył różdżki Harry'ego, którą ukradł mu, gdy tylko oszołomił go w klasie zaklęć — odpowiedział z nutą irytacji w głosie. — Nie ma żadnych podstaw, żeby przypuszczać, że to właśnie Harry trzymał wtedy tę różdżkę w dłoni.

MaCwane prychnął wściekle.

— I wcale nie musi ich być — odrzekł cierpko. — Zgodnie z dekretem bezpieczeństwa numer czterysta dwadzieścia jeden każdy dorosły czarodziej ponosi pełną odpowiedzialność za swoją różdżkę. Jeśli więc zostanie ona użyta niezgodnie z prawem, a sprawca przestępstwa nie zostanie ustalony, wina spada na właściciela tejże różdżki — wyrecytował, a wielu magów siedzących w ławach obok żywo go poparło.

Dorian Conelly spojrzał na Hermionę z bezsilnością. Obrócił się w stronę Harry'ego, który wciąż otepiało patrzył przed siebie.

— Ten dekret jest absurdalny! — zawołała nagle Hermiona, wstając gwałtownie z ławki i podchodząc do ławy sędziowskiej. — Jak wszystkie te tak zwane dekryty bezpieczeństwa! Gdybyście faktycznie dbali o bezpieczeństwo kogokolwiek, zależałoby wam, żeby dorwać i skazać prawdziwego zabójcę!

Słowa Hermiony, jak można się było spodziewać, wywołały gwar oburzonych rozmów. Członkowie Wizengamotu zaczęli szeptać między sobą, z niechęcią zerkając na wzburzoną Hermionę. Wkurzony jej zachowaniem MaCwane zarządził przerwę w obradach, po której miał zostać ogłoszony wyrok. Po chwili wszyscy sędziowie pospiesznie opuścili salę.

— Myślisz, że jest szansa, żeby go uniewinnili? — spytała załamany głosem Hermiona, spoglądając ze łzami w oczach na Doriana.

Conelly z trudem przełknął ślinę.

— To wygląda jak jakaś ustawka — przyznał ze zgrozą a auror, który pilnował Harry'ego, obdarzył go zniesmaczonym spojrzeniem. — Harry ponad trzy tygodnie czekał na rozprawę. Na ogół jej termin wyznaczany jest w ciągu kilku dni — kontynuował Dorian, ignorując spojrzenia strażnika. — Z pewnością chcieli, żeby jak najdłużej tkwił w Azkabanie. Liczyli, że kompletnie postrada zmysły i nie będzie mógł powiedzieć nic, czym zdoła się wybronić.

Auror prychnął z pogardą. Hermiona obdarzyła go bazyliiskowym spojrzeniem i kucnęła przy Harrym, który mętłym wzrokiem wciąż patrzył przed siebie i milczał.

— Chyba mieli rację — jęknęła ze łzami w oczach. — On kompletnie nie kontaktuje. Sam zobacz.

Barczysty strażnik lypał teraz na nich podejrzliwie. Dorian niepostrzeżenie machnął różdżką i użył na nim zaklęcia Confundus. Kiedy upewnił się, że auror już mu nie przeszkodzi, kucnął przy Harrym i popatrzył mu głęboko w oczy. Po chwili wyciągnął różdżkę i skierował jej koniec w skroń Harry'ego.

Od momentu opuszczenia celi, w głowie Harry'ego wciąż kłębiły się okropne obrazy. Widział bladą, pozbawioną życia twarz

ojca. Słyszał przeszywający serce krzyk matki, na sekundę przed tym, nim zabił ją Voldemort. Wciąż powracał do niego moment, kiedy Cedrik Diggory zginął na cmentarzu w Little Hangleton. Albo ten, w którym Syriusz wpada za kurtynę. Tyle śmierci. Tyle cierpienia. Wszystko takie marne, bezsensowne. Te ponure wizje tak bardzo go pochłaniały, że głosy z sali rozpraw niemal do niego nie docierały.

W pewnym momencie ponure wizje zaczęły jednak słabnąć. Ustępowały stopniowo miejsca bardziej przyjemnym obrazom. Harry ujrzał nagle roześmianą twarz Hermiony. Głupkowatą minę Rona, dyndającego głową w dół, kiedy Harry rzucił na niego zaklęcie Levicorpus. Zobaczył wzruszoną twarz Molly Weasley, która prosi go, żeby mówił do niej „mamo”. Mokrą od łez szczęścia twarz Ginny, wtedy gdy w końcu powiedzieli sobie sakramentalne „tak”. Niczym w filmie oglądał sceny narodzin Jamesa, Albusa i Lily. Te wzruszające momenty, gdy po raz pierwszy ujrzał ich różowiutkie buzie. Jego serce zaczęła przepelniać radość i optymizm. Niemal odczuł ponownie na palcu, jak mały Ron po raz pierwszy złapał go swoją malutką rączką.

I nagle zdał sobie sprawę, gdzie się właśnie znajduje. Spostzegł zatroskaną twarz Hermiony, która ze łzami w oczach kuciała przed nim i uważnie mu się przyglądała. Obrócił głowę w lewo. Ujrzał Doriana Conelly'ego, który oderwał właśnie różdżkę od jego skroni z wyraźnym zadowoleniem wymalowanym na twarzy.

— Witaj ponownie wśród żywych, Harry — oznajmił wesoło.

— Jak dobrze was znowu widzieć! — zawołał z ulgą Harry, a Hermiona natychmiast wybuchnęła płaczem i rzuciła się mu na szyję.

Kiedy Harry w końcu uwolnił się z jej objęć, wstał z krzesła i spojrzał na otepiałą twarz strażnika.

— Confundus — wyjaśnił z przekąsem Conelly.

Harry pobladł.

— Nie możecie narażać się dla mnie — zaproponował. — Był u mnie Artur Weasley. Mówił, że wszyscy jesteście obserwowani! A za pomoc skazańcowi grozi dożywocie w Azkabanie!

— Nie pozwolę, żebyś wrócił w to okropne miejsce! — zapewniła go z oburzeniem Hermiona.

Nagle drzwi do sali rozpraw otworzyły się. Harry pospiesznie usiadł na krześle i przybrał ponownie tępy wyraz twarzy.

— Nie wrócę tam. Coś wymyślę! — syknął szeptem do Hermiony, która na widok magów Wizengamotu wchodzących do sali, potulnie wróciła na swoją ławeczkę.

Kiedy ławy zaczęły stopniowo zapełniać się, Conelly dyskretnie zdjął zakłęcie ze strażnika, który wzdrygnął się i zaczął rozglądać się z lekkim niepokojem po sali. Musiał uznać, że przysnął, bo nawet nie spojrzał w kierunku Doriana.

— Nastąpi teraz ogłoszenie wyroku — poinformował Twain MaCwane, spoglądając niechętnie na Harry'ego, a strażnik natychmiast podszedł do niego, chwycił go za ramiona i podniósł do góry, zmuszając do powstania. — Harry Jamesie Potterze, decyzją Wizengamotu z dnia drugiego kwietnia bieżącego roku, zostałeś uznany winnym okrutnego morderstwa, którego dopuściłeś się w Szkole Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie.

Harry poczuł, że uginają się pod nim kolana. Co prawda, spodziewał się takiego wyroku, ale to, że faktycznie go usłyszał, mocno nim wstrząsnęło. Hermiona momentalnie wybuchnęła płaczem, ukrywając twarz w dłoniach. Conelly pobladł i z niepokojem spojrzał na Harry'ego.

— Za tak odrażający czyn prawo przewiduje tylko jedną karę — ciągnął MaCwane chłodnym, pozbawionym emocji głosem. — Harry Jamesie Potterze, Wizengamot skazuje cię na śmierć. Wyrok zostanie wykonany w trybie natychmiastowym.

— NIEEEE! — ryknęła z rozpaczą Hermiona.

Harry opadł bezsilnie na krzesło. Nogi miał jak z waty. Nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie dzieje.

Nagle stało się jednak coś, czego chyba nikt obecny na sali zupełnie się nie spodziewał. Drzwi do komnaty otworzyły się z hukiem, a w sali nagle zapanowała zupełna ciemność. Tak czarna i nieprzenikniona, że kompletnie niczego nie było widać. Peruwiański proszek natychmiastowej ciemności!, pomyślał od razu Harry i błyskawicznie zsunął się z krzesła, zanim dłoń spanikowanego strażnika chwyciła go za ramię. Podczas gdy magowie z Wizengamotu zaczęli wrzeszczeć z przerażenia, Harry w panice biegł na czworaka w kierunku drzwi (przynajmniej starał się, kompletnie niczego nie widząc). Nagle poczuł czyjaś dłoń na rękawie szaty i solidne szarpnięcie.

— Tędy! — rozległ się ponagląjący, dziwnie znajomy głos.

Ktoś pociągnął za sobą Harry'ego, gdy nad jego głową zaczęły świstać zaklęcia miotane wściekle przez strażnika. Kiedy Harry wyczołgał się przez uchylone drzwi na niewielki, ponury korytarz, ujrzał sylwetki swoich wybawców. Poczul, jakby bryłki lodu opadły mu na dno żołądka.

— James?! Fred?! — jęknął, przerażony na widok syna i jego kuzyna. — Co wy tu, do cholery, robicie?!

— Ratujemy ci skórę, tato! — zawołał ze zniecierpliwieniem James, wyciągając różdżkę w kierunku drzwi do sali posiedzeń.

— *Colloportus!*

Drzwi zamknęły się z hukiem. Harry wpatrywał się w syna ze szczerym zdumieniem. Czul wściekłość, że pomagając mu, James złamał prawo i bardzo się naraża. Jednocześnie ucieszył go widok dawno niewidzianego syna. Rzucił się w jego stronę i mocno go do siebie przytulił.

— Musimy szybko dostać się do Departamentu Tajemnic! — zawołał ponagląjąco Fred. — Chodźcie prędko! Tędy!

Harry wypuścił z objęć syna, który natychmiast chwycił go za

rękę i pociągnął w głąb korytarza. Biegł więc za chłopcami, kompletnie zszokowany tym, co właśnie się działo. Biorąc pod uwagę, że w ostatniej chwili nawiał przed kąpielą w wywarze żywej śmierci, uznał, że na zadawanie pytań przyjdzie jeszcze czas. Kiedy cała trójka dotarła do windy na końcu korytarza, drzwi sali rozpraw wystrzeliły w powietrze, a korytarz przez moment spowily kłęby dymu i pyłu. Z sali wybiegło kilku członków Wizengamotu, oraz wyraźnie wkurzony auror. Zaczęli miotać wściekle zaklęciami w kierunku windy. Harry był jednak szybszy. Pospiesznie zasunął złote kraty i wcisnął guzik „w górę”. Winda ruszyła z łoskotem, zanim jakiegokolwiek zaklęcie zdążyło do nich dolecieć.

— Skąd wy się tu, do cholery, wzięliście, co? — spytał roztrzęsionym głosem, spoglądając w napięciu na syna. — Wiesz, że jesteście śledzeni?! Macie na sobie namiar!

James pokręcił przecząco głową.

— Nie mamy, wujku — odrzekł stanowczo Fred. — Te półgłówki z Ministerstwa nałożyły namiar tylko na dorosłych członków twojej rodziny.

— Widocznie uznali, że dzieci, takie jak my, nie potrafią pomóc komuś w ucieczce — dodał ironicznie James.

Fred zaśmiał się i przybił piątkę kuzynowi. Harry'ego zupełnie zatkało. Przerażała go myśl, że dzieciaki narażają się dla niego. Jednocześnie dotarło do niego, że on robił w ich wieku równie niebezpieczne rzeczy. W końcu powstrzymanie Quirrella przed zdobyciem Kamienia Filozoficznego, czy też zabicie bazyliuszka w Komnacie Tajemnic było tak samo niebezpieczne, jak ucieczka z Ministerstwa Magii z czarodziejem skazanym na śmierć.

Winda nagle zatrzymała się. Uprzejmy kobiecy głos oznajmił „Departament Tajemnic” i kraty rozsunęły się z łoskotem, co wyrwało Harry'ego z rozmyślań. Dwaj aurorzy stojący na końcu korytarza na ich widok sięgnęli po różdżki, ale chłopcy na szczę-

ście byli szybsi. Dwie Drętwy poleciały w kierunku strażników z takim impetem, że aż odrzuciły ich kilka stóp do tyłu.

— Właściwie czego tutaj szukamy? — spytał z paniką Harry, wychodząc z windy i podchodząc do aurorów, żeby upewnić się, czy są nieprzytomni.

— Nie czego, tylko kogo — odrzekł tajemniczo James, wychodząc z windy zaraz za ojcem. — Rose, Albus i Henry gdzieś tu są.

— Mieli poszukać Płomyka — wyjaśnił Fred, zanim Harry zdążył oburzyć się faktem, że jeszcze więcej dzieciaków bierze w tym udział. — Ten ptak to nasza droga ucieczki.

Ruszyli korytarzem. Harry pobladł na twarzy. Przypomniawszy sobie jak kilka razy bezskutecznie próbował przywołać do siebie Płomyka. Najpierw w Biurze Aurorów, później w Azkabanie. Zaczęła ogarniać go panika. A co, jeśli i tym razem feniks nie zdoła się zdeportować?

— Płomyk jest podobno w sali czasu — oznajmił sucho, przypominając sobie nagle słowa teścia, który pewnego dnia odwiedził go w Azkabanie.

James i Fred spojrzeli po sobie i przyznali, że wiedzą o tym. Weszli pospiesznie do okrągłej sali z tuzinem drzwi. Harry wkroczył tuż za nimi.

— Jak się tutaj dostaliście i skąd wiecie, gdzie ukryli mojego feniksa? — spytał zaintrygowany, a James wyszczerzył zęby.

— Przylecieliśmy tutaj na miotłach, tato — oznajmił takim tonem, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie. — Ktoś z Ministerstwa wysłał do mnie sowę. Podpowiedział, kiedy i gdzie mamy się pojawić.

Harry uniósł brwi.

— Pewnie zrobił to Michael Corner — stwierdził z przekonaniem. — Wiedział, że tylko wy nie macie na sobie zamiaru. Założę się, że celowo powiedział też Arturowi, gdzie trzymają Pło-

myka.

— Nie chcę przeszkadzać wam w pogaduszkach — zaczął iro-  
nicznie Fred, spoglądając ze zgrozą na tuzin drzwi, które nagle  
przemieszały się między sobą — ale nie mam kompletnie poję-  
cia, które z nich powinniśmy wybrać!

Zanim Harry zdołał cokolwiek odpowiedzieć, nagle jedne z  
drzwi otworzyły się na oścież i wybiegły z nich trzy osoby. Albus  
i Henry z wyciągniętymi różdżkami wpadli na Jamesa, zanim ten  
zdołał uskoczyć na bok. Za nimi wybiegła Rose. Harry od razu  
zauważył, że miała zawieszoną na ramieniu magiczną torebkę  
Hermiony. Przed nią lewitowała duża, szklana kula. W jej wnętrzu  
znajdował się Płomyk.

— Świetnie! Jesteśmy w komplecie! — ucieszył się Fred.

Albus, Henry i Rose przywitali się pospiesznie z Harrym.  
Wyraźnie ucieszyli się na jego widok. Harry spojrział na kulę, w  
której uwięziony był feniks. Ptak w kilka sekund zestarzał się  
bardzo i nagle stanął w ogniu.

— Co chwilę tak robi — wyznała ze znużeniem Rose, kiedy  
piskłę feniksa momentalnie wyłoniło się z popiołu i znowu za-  
częło się szybko starzeć, do momentu aż ponownie stanęło w  
ogniu.

— Umieścili go w pętli czasu! — zawołał ze zdumieniem Har-  
ry. — Dlatego nie mogłem go do siebie przyzwać. Gdy feniks  
jest pisklciem, nie może się aportować.

— W jaki sposób wydostaniemy go z tej pętli? — spytał pona-  
glającym tonem James, a pozostali spojrzeli w napięciu na Har-  
ry'ego.

— Myślę, że wystarczy zbić tę kulę — odrzekł bez przekona-  
nia Harry, a chłopcy wymienili między sobą niespokojne spoj-  
rzenia.

— Jeśli zrobimy to w złym momencie, Płomyk będzie piskla-  
kiem — zauważyła rozsądnie Rose. — A wtedy nie uda nam się

stąd nawiać. Mam, co prawda, miotły w torebce, ale wątpię, żeby udało nam się stąd po prostu wylecieć.

— Pospieszcie się! — zapiszczał Albus, bo z głębi korytarza dobiegł ich grzechot windy i łoskot rozsuwanych krat. — Ktoś już tu idzie!

Harry uznał, że nie ma już czasu na gadanie. Wyrwał Jamesowi różdżkę z dłoni i rzucił zakłęcie spowalniające na kulę. Odetchnął z ulgą, kiedy spostrzegł, że podziałało. Przemiana feniksa następowała teraz dużo wolniej.

— Wystarczy tylko stłuc kulę, gdy feniks dorośnie — ucieszyła się Rose, a chłopcy przyjęli jej słowa z wielkim entuzjazmem.

Zanim jednak Harry zdołał rozbić kulę, drzwi za jego plecami otworzyły się i stanął w nich ktoś, kogo Harry wolałby teraz nie spotkać.

— Ackerly! — jęknął z przerażeniem, a dzieciaki aż zapiszczały na widok aurora.

Stewart wycelował swoją różdżkę w Harry'ego, zanim ten zdołał go rozbroić. Albus, Henry i Fred już mieli walnąć w niego Drętwołą, ale Ackerly pogroził im palcem, zaciskając dłoń na swojej różdżce.

— To ten nadęty szef aurorów? — spytał półgębkiem Fred, a Rose trąciła go łokciem, dając mu do zrozumienia, że ma się zamknąć.

Twarz Stewarta była blada i pozbawiona emocji. Przez chwilę przyglądał się Harry'emu w milczeniu.

— Jestem niewinny. Pozwól mi nawiać i to udowodnić — poprosił z desperacją Harry, licząc się z tym, że auror pewnie go zaraz wyśmieje.

Zamiast tego Ackerly opuścił swoją różdżkę. Chłopcy spojrzeli po sobie z niedowierzaniem. Rose zadygotała. Harry wybałuszył oczy ze zdumienia, kiedy szef aurorów sięgnął do swojej kieszeni i wyjął z niej jego różdżkę.

— Myślę, że może ci się teraz przydać — stwierdził napiętym głosem, podając ją Harry'emu. — Macie bardzo mało czasu. Wysłałem aurorów do atrium, ale wkrótce zajrzą i tutaj.

Harry'ego kompletnie zamurowało. Wpatrywał się w Stewarta ze spojrzeniem pełnym niedowierzania i wdzięczności zarazem.

Rose machnęła różdżką i szklana kula rozprysnęła się na drobne kawałeczki, uwalniając z niej w pełni dojrzałego feniksa. Harry aż podskoczył, kiedy kawałki szkła przeleciały mu koło ucha. Raz jeszcze spojrzął na szefa aurorów.

— Wiejcie, Potter! Nie ma czasu! — zawołał ponagłająco Ackerkly.

Nie mogąc znaleźć żadnych sensownych słów, które mógłby teraz wypowiedzieć, Harry oddał różdżkę synowi i schował swoją do kieszeni.

— Złapcie mnie za ramiona! — polecił pospiesznie dzieciakom, a kiedy to zrobiły, uniósł ręce do góry.

Feniks przeleciał pod sklepieniem komnaty, zagegał wesoło i wzbił się ponad głową Harry'ego. Kiedy znalazł się między jego dłońmi, stanął w ogniu i zamienił się w ognistą kulę, która ogarnęła Harry'ego i dzieciaki, rosnąc coraz bardziej. Gdy objęła wszystkich, zdematerializowała się, pozostawiając po sobie kłęby dymu.